Ner 19. Kraków 14 sierpnia 1869. Rok III.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny“ — w Krakowie.

KILKA CHARAKTERYSTYCZNYCH RYSÓW

Z ŻYCIA

MARJI STUART.

(Rzecz oparta na najnowszych badaniach historycznych)

przez *Edwarda Lubowskiego.*

(Ciąg dalszy).

Sussex trzymał się w Yorku z wojskiem wiernie oddaném Elżbiecie. Druga armia złożona z 12,000 ludzi spieszyła mu na pomoc pod wodzą hr. Warwick.

Westmoreland i Northumberland sądzący, że rozpoczęciem nieprzyjacielskich kroków podburzą milion katolików angielskich, rychło doznali zawodu. Mała się tylko liczba przyłączyła, proklamacja zaś najgorszy wywarła skutek. Odwołanie się do katolicyzmu mass, które dopiero co zwycięzko dokonały dzieła reformy, było urażeniem najświętszych ich uczuć. To też zerwały się jak huragan, depcąc wszystko bez litości, co napotkały na drodze. Zburzono oporne miasta, wieszano tysiącami bez różnicy stanu i wieku; ustanowiono trybunał, w którym jak się wyraził naoczny świadek, nie było tylu niewinnych, ilu potrzeba było do osądzenia winnych.

Hrabia Westmoreland ratował się ucieczką. Northumberlanda pochwycił i wydał Szkot, zgwałcając prawa gościnności.

Obostrzono więzienie Norfolka, przetrząśnięto wszystkie jego pałace i zamki, pochwycono papiery. Elżbieta wyznaczyła do téj sprawy osobnych komisarzy, z których gdy jeden składając sprawozdanie śmiało bronił niewinności Norfolka, wprawił królowę w taki niepohamowany gniew, że zawołała: „Klnę się na Boga, że jeżeli prawa nic nie przemogą nad jego życiem, to moja władza przemoże.“ To mówiąc, zemdlała z gniewu. Duchowni protestantcy podnieśli jednozgodny krzyk potępienia przeciw Marji. Naglili Elżbietę, aby raz *usunięciem* zwidowni świata *osoby*, zatarła odnawiającą się ciągle *przyczynę* zaburzeń. Już więc wtedy groziło Marji niebezpieczeństwo życia, oddalone jedynie szybkiem uśmierzeniem rozruchów i ucieczką przywódców. Znów ją z Cowentry sprowadzo-

Rysunki Artura Grotgera.

z wystawy paryzkiéj 1867



VII. SĄD DORAŻNY.

no do Tutbury, (2 stycznia 1570), poczém znów w miesiącu maju dla prostego widzimisię Elżbiety przewieziono ją do zamku Chatsaworth. Tu czytała bullę exkomunikacji rzuconą przez Piusa V na Elżbietę, unieważniającą prawa jéj do korony Anglii. Bullę przybił Felton na bramie pałacu biskupa londyńskiego. Marja ucieszyła się tą groźbą rzuconą z kapitolu, niepomna, że to nowy tylko piorun mający uderzyć w jéj głowę.

Chcąc się zupełnie oczyścić w oczach Norfolka, napisała w tym czasie do hrabiny Lennox (matki Darnleja) długi list, silący się usprawiedliwić przyszłe czyny.

Hrabina radziła się męża, na co jéj tenże tak odpisał:

„Potrzebaby dużo czasu, aby zapomnieć o czynie tak powszechnie znanym, ażeby ubielić to, co jest czarném, ażeby dowieść niewinności tam, gdzie jéj niema . . . Jéj jedynym obowiązkiem względem nas jest przyznanie się szczere do wspólwiny w tém opłakaném zdarzeniu. Bóg jest sprawiedliwym, nie można go oszukiwać do ostatka, ukarze on zbrodnię tak samo jak dozwolił wykryć prawdę.“

Jest to nowy przyczynek do wyż wzmiankowanych przez nas listów; ciąży on tym straszniejszym dowodem na Marji, że pisze go mąż pogodzony już ze samém zdarzeniem, a tylko pamiętny nieochybnéj sprawiedliwości Boga.

Posądzamy jeszcze teraz nieszczęśliwą królowę, że to usprawiedliwianie się czyni nie z wewnętrznego żalu, z przekonania, ale dla oczyszczenia się w oczach nowego kochanka, czyli sięgając daléj, znów dla dogodzenia swéj namiętności. Bo oto posyła biskupa Ross do papieża z poleceniem uzyskania rozwodu z Botwelem, owym niedawno szalenie kochanym mężem, dla którego poświęcić chciała wszystkie trony Europy. Prosi nawet papieża, aby przyjął jéj solenne oświadczenie i unieważnił jéj *mniemane małżeństwo* z Botwelem; przyjęciem bowiem tego oświadczenia *unieważnienie tém widoczniéj się objawi!* (Ut sanctissimus pater aperte declaret illud praetensum matrimonium, quod inter me et Botwelem nullo jure sed simulata ratione sanctiebatur, nullius). Nie chodzi jéj już teraz nawet o córkę, — istotnie elastyczność charakteru Marji Stuart jest często przerażającą.

To prawda, że małżeństwo z Norfolkiem, gdyby było możliwém, ocala jéj życie, wolność i koronę; nie można się więc dziwić, że z gorączkową niecierpliwością oczekuje odpowiedzi z Rzymu, i że pisze czułe listy do Norfolka, w których przyznając się do wielkiéj dlań miłości, chce z nim podzielić złą i dobrą dolę. Nie pamięta już Botwela — kocha całą nadzieją, wszystkiemi pragnieniami Norfolka. Przeszłość ustąpiła z jéj pamięci, dawne uczucia z serca, niepokój z sumienia. Norfolk, to jéj cała teraz przyszłość, to jedyny i wyłączny cel.

Pod brzemieniem tych kameleonowych przemian uczucia, tych nagłych podskoków od najwyższéj radości do najczarniejszego smutku, zapadła ciężko na zdrowiu. Potrzebowała zmiany powietrza. Lord Shrewsbury otrzymuje rozkaz 28 listopada 1570 r., umieszczenia jéj w swoim zamku w Sheffield.

Shrewsbury byłto mąż uczciwy, surowo spełniający swe obowiązki religijne i urzędowe. Litował się nad losem uwięzionéj, a zmuszony był ostro ją nadzorować. Elżbieta szanowała go najwięcéj może z wszystkich lordów, a mimo to dodała mu pomocników w osobach Walsinghama i Burleigha, którzy ścisłą nad nim samym pełnili kontrolę. Marja podwójnie strzeżona, cierpiała prawdziwe męki, lecz tém cierpieniem wzbudzała poświęcenie się dla niéj, zacierając zarazem wrażenie popełnionych przewinień, o których nawet zaczęto już powątpiewać. Katolicy przejęci byli dla niéj niezmierną litością; — litość ta Norfolka wzmocniła jego niepewną w początkach dla niéj miłość. Bogaty przewódca licznych wassali, podobien królowi, wspaniałomyślny, rycerski i awanturniczy, przedstawiał on typ ówczesnego magnata w całém znaczeniu tego słowa. Elżbieta chciała w nim mieć powolne tylko sobie narzędzie, a gdy natrafiła na opór, nie wahała się uczynić z niego ofiarę. Kazała go wypuścić z wieży pod solenném zapewnieniem, że nie zamyśla starać się o rękę Marji; lecz zaledwie odzyskał wolność (1570) odnowił natychmiast związki z agentami papieża, Hiszpanii i Marji. Ridolfi, główny i najczynniejszy ajent, udał się na dwór Filipa II, do księcia Alby w Bruxelli z ważnemi instrukcjami. Myśl przywrócenia katolicyzmu w Anglii dojrzała. Z rozmowy Ridolfiego z Filipem II, spisanéj przez przybocznego sekretarza, okazuje się, że nietylko chodziło o katolicyzm i o zrzucenie z tronu Elżbiety, ale nawet o pozbawienie jéj życia. Wykryty spisek wtrącił powtórnie Norfolka do wieży, z któréj już tylko zstąpił na rusztowanie. Proces prowadzono zwolna z zachowaniem wszelkich formalności. Sąd lordów opierając się na własnoręcznych jego listach, na zeznaniach przestraszonych świadków (biskupa Ross i innych) skazał Tomasza Howarda, księcia Norfolk na śmierć pierwszego stopnia, to jest, połączoną z porąbaniem ciała na cztery części i wystawieniem ich na czterech bramach Londynu, głowy zaś na moście położonym w środku miasta.“

Wyrok ten będący jakby wstępem do ważniejszego jeszcze wyroku, wypadł podług życzenia Elżbiety, ale nabawił ją niemałym niepokojem. Pięć tygodni wstrzymywała podpis, poruszona skrupułami poświęcenia swego krewniaka i pierwszego magnata Anglii. Lecz Burleigh i Leicester zwołali parlament, a ten z nieubłaganą konsekwencją uchwalił, że godzi się usunąć Norfolka i Marję Stuart, skoro zagrażają tak drogiemu dla Anglii życiu. Nie ociągała się przeto dłużéj, zmieniając tylko rodzaj śmierci na proste ścięcie, tak, że w pięć miesięcy po wydaniu wyroku (1 czerwca 1572) wyrok dokonanym został.

Nie można zaprzeczyć, że mimo zapierania się, Norfolk chciał istotnie przywrócić katolicyzm i strącić z tro-

mu Elżbietę; korespondencje, jakie w tym celu prowadził z dworami zagranicznemi, znajdują się obecnie w archiwach sekretnych Watykanu.

Marja dowiedziawszy się o jego śmierci, zamiast unieść się dawną gwałtownością, przycichła, przytłumiając bolesne skargi; przed Elżbietą nawet tłumaczy się swoim zwyczajem zaprzeczania wszystkiego, że żadnego nie brała udziału w komplocie Norfolka. Zdawałoby się nawet, że się go wypiera zupełnie; bo pisze w jednym z listów: „Musiałabym być chyba całkiem pozbawioną zmysłów, porozumiewając się z Norfolkiem, boć przecie wiem, jakieby ztąd dla mnie niebezpieczeństwo urosło.“ Nie jest to jednak z jéj strony nieczułością, egoizmem, jest tylko przerażeniem, strachem nakazującym jéj roztropność. Parlament albowiem żądając ukarania Norfolka, upraszał królowę w téj saméj petycji, aby tak samo śmiercią ukarała Marję. Elżbieta nie śmiała jeszcze, ale Marja . . . przeczuwała.

Nie mało przyczyniała się do pogorszenia jéj doli rzeź zaszła w roku 1572. Trzydzieści tysięcy Hugonotów poległych w tych dniach okropnych, jeżeli napełniło radością katolików, to wzburzyło do najwyższego stopnia współwyznawców, wzburzyło również monarchinię wyznawców reformy. Elżbieta długi czas nie chcąc widzieć ambasadora Francji, przyjąwszy go nareszcie w sali powleczonéj żałobą, powiedziała mu wiele słów gorzkich. Nie mogło to nie oddziałać na sprawę Marji; wszyscy, szczególniéj zaś Burleigh i Leicester, (ten sam, którego Szyller z taką lubością mianuje kochankiem Marji) naglą królowę Anglii, ażeby ją poświęciła dla spokojności państwa. Lecz Elżbieta miała jeszcze pewne skrupuły, nie chciała w sposób tak otwarty, publiczny, widny całéj Europie, pozwolić spaść królewskiéj głowie; wymyśliła przeto inny środek. Wysłała Killegrewa, jednego z swych posłusznych do Szkocji, ażeby tam pod oznaczonemi warunkami pozbyto się potajemnie i bez chałasu szkockiéj królowéj. Killegrew sprawił się gracko. Marr (naówczas regent) po długim wprawdzie oporze wraz z Mortonem obiecali pozbyć się Marji Stuart pod warunkami, że: 1) to nie naruszy praw Jakóba VI; 2) że Anglia zapłaci zaległy żołd armii szkockiéj, i 3) że egzekucja odbędzie się w obecności hrabiego Sussex z 3000 ludzi.

Marr, człowiek uczciwy, uległ, sądząc, że z usunięciem Marji zakończy się wojna domowa. Lecz gdy go opuścili kusiciele, gdy sam został ze swojém sumieniem, wyrzuty przeważyły względy polityki, — rozchorował się ze zgryzoty, a po dwudniowéj chorobie umarł. Śmierć regenta ocaliła jeszcze tym razem życie Marji. Zaburzenia zaszłe po tegoż śmierci w Szkocji, jakoteż zaburzenia w całéj Europie zmieniły formę wykonania, lecz nie zmieniły zamiaru Elżbiety ani jéj usłużnych narzędzi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIĘKNA JADZIA.

wiersz deklamowany na koncercie przez p. Modrzejewską, z towarzyszeniem muzyki Schumana.

Zasiadł w swych lennych wassalów gronie
Rycerz jak mleko i krew;
Oblicze jego ogniami płonie
I bije ogień z pod ciemnych brew.
Zapał, jak gdyby na wojnę.

Wchodzi dzieweczka, cudne zjawisko,
Nalewa puhary szklanne,
Cofa się skromnie, kłania się nisko —
A słońca blaski poranne
Białe jéj czółko całują.

Lecz prędko rycerz rączkę jéj chwyta,
Rączkę bieluchną jak śnieg;
Ona spojrzeniem trwożliwie pyta,
Na jéj jagody rumieńczyk wbiegł,
Chwilka — a patrzy znów śmiało.

„Dziewcze ty moje, tutaj przedemną
„Na trzy odpowiedz pytania:
„Zkąd ty? i dokąd? i czemu ze mną?
„Odpowiedz na te pytania,
„Śmiało odrazu odpowiedz.

Zkąd ja przychodzę? idę od Boga,
Jak niegdyś mówiono mnie
Kiedy pytałam gdzie matka droga,
A szydząc ze mnie śmiano się —
A moje oczy płakały.

Dokąd ja idę? Nic mnie nie nagli,
Świat mi za ciasnym nie będzie —
Pocóż mam szukać niepewnych żagli,
Wszak tutaj, tutaj i wszędzie
Wesoło, pięknie i jasno.

Czemu twych skinień słucham z ochotą?
Pokoju nie chcę ja znać —
Wszak na kolanach prosiłam o to
Bym mogła wino ci lać;
Radabym czynić to wiecznie.

„Więc jasnowłose moje ty dziecię
„O czwarte jeszcze się spytam —
„Potém już nigdy o nic na świecie.
„Mów prędko, słowa twe chwytam,
„Kochasz mnie? powiedz mi Jadziu!

Ona zadrżała, stoi zmieszana,
Wkrąg potém ogląda się

Po groźnych gościach swojego pana,
I rzecze: o kocham cię;
I rączki drobne załamie.

Lecz wiem już teraz gdzie moja droga,
Bym raz to śmiała wyjawić;
Pójdę zkąd jestem, pójdę do Boga,
Dłużéj mi tutaj nie bawić,
Zakonna dla mnie sukienka.

„Kiedy tak mówisz, któż nie uwierzy?
„Prawdą jest głos twój i łzy,
„Więc do ołtarza iść nam należy
„O boża dziecino ty;
„Niech zmilknie śmiech i szyderstwo!

„Toż was sprosiłem dostojne pany
„By wspólnéj zażyć swobody;
„Zapalać światła, napełniać dzbany,
„Dziś moje wielkie są gody —
„Więc do kaplicy za nami."

Alf.

LITWINKA.

Obrazek dramatyczny z czasów powstania 1863 roku,

w trzech Aktach,

napisał ***F. Łoziński.***

O S O B Y:

ZAREMBA, Obywatel wiejski.
ZOFIA, córka } Zaremby.
STANISŁAW, syn }
ZYGMUNT, Oficer w służbie rosyjskiéj.
MALINOWICZ }
SŁOBODA } Sąsiedzi Zaremby.
WŁADYSŁAW }
MARYNIA, córka Malinowicza.
Ksiądz proboszcz.
JAN, służący.
IWAN, żołnierz

Rzecz dzieje się w domu Zaremby.

AKT I.

SCENA I.

ZOSIA sama. *(Szyje kaftany dla powstańców).*

Zosia. Dzięki Bogu, skończyłam już. Robota poszła mi prędzéj niż się spodziewałam. Ucieszę tém a zarazem zawstydzę Marynkę, bo ona swoich pewno jeszcze nie skończyła.

Ale jak jéj oddać? Pojadę sama, może zaraz dowiem się czego nowego i dobrego; tak to najlepiéj — zabierajmy się więc żwawo.

(Składa robotę i chce wychodzić, nagle zatrzymuje się). A, nic z tego; ojca nie ma w domu, bez jego pozwolenia nie pojadę, gniewałby się — a na jego nieukontentowanie, zwłaszcza teraz, narażać się nie mogę. Przez kogo ja biedna odeszlę. A! przez Stasia, pojedzie chętnie, owszem, rad będzie że zobaczy się ze swoją Marynką. — Żeby tylko prędko powrócił! radabym natychmiast pochwalić się swoją pracą.

Ale jak Staś zobaczy, że to kaftaniki dla powstańców, czy zechce nam usłużyć? Dobry to i dzielny chłopiec, ale wraz z ojcem w dobry skutek powstania nie wierzy, i obadwa ani sobie wspomnieć o niém nie pozwolą.

Poczekajcie moi panowie! ja Zosia, stoczę z wami walkę i pokonać muszę; poszukam w waszych sercach iskierki ognia i w wielki ją płomień rozżarzę.

(Słychać Stanisława za sceną).

SCENA II.

ZOSIA, STANISŁAW.

Zosia. W samą porę Stasiu przybywasz! Ale cóżto Waszeć taki zachmurzony! Fi Stasiu, nie do twarzy ci z taką serjozną minką. No, udobruchaj że się przecież, niechcesz, otóż musisz, znajdę ja sposób na ciebie.

(bierze kaftaniki). Jestem pewna, że poselstwo do którego cię chcę zaprosić, rozproszy z twojego czoła te straszne czarne chmury. Oto patrz, ten pakiecik odwieź Mani i powiedz jéj . . .

Stanisław. Daj mi pokój i z paczką i Manią.

Zosia. A to co? braciszku, jesteś niegrzeczny i dla mnie i dla Mani; a pewno żadna z nas nie dała ci do tego powodu.

Stanisław. Przeciwnie, moja pani. Właśnie wracam od Maryni, z którą się ostro przemówiłem. Daruj Zosiu, ale doprawdy wam się tu (pokazuje na czoło) coś złego zrobiło. Myśli wasze zajęte tylko polityką, wojną, rewolucją; ciągłe składki, szycia, haftowania — poczciwego słowa nie można z was teraz wydobyć!

(Na początku tego ustępu wchodzi Władysław, kłania się Zosi, Zosia odkłoniwszy się siada i szyje).

SCENA III.

ZOSIA, STANISŁAW, WŁADYSŁAW.

Władysław. Stanisławie, przestań — Panna Zofia . . . .

Stanisław. Panna Zofia zasłużyła na burę i nie broń jéj. Oto i teraz przyszliśmy, a ona ani się przywita, nie pomówi szczerze i wesoło jak dawniéj, wiecznie szyje i szyje! Tak zawsze teraz. Mniejsza już o mnie, ale ty, gość, a patrz jak ci rada (po chwili) Zosiu odezwij-że się przecież!

Zosia. Wiesz Stasiu jak mnie wszelkie sprzeczki i furje bolą, i jak ich starannie unikam. Nie posądzaj mnie o niegrzeczność, bo kiedy czekam tu, aż się gniewać przestaniesz, to właśnie daję dowód mojéj względności na gościa i pobłażliwości dla ciebie.

Stanisław *(uspakajając się, podchodzi do Zosi i biorąc za rękę mówi).* Mówię to dla twego dobra Zosiu. Siedzisz nad temi robotami dzień i noc, ani się rozerwiesz, ani przejdziesz nawet, pomizerniałaś doprawdy!

No, połóż to, chciałaś żebym jechał do Mani, dobrze, ale jedź i ty, weźmiemy Władysława, rozerwiesz się trochę.

Zofia. Nie Stasiu, chcesz, to zrób nam tę przysługę i pojedź, ale ja zostanę i szyć będę; mnie to nie męczy, wierzaj mi, zwłaszcza kiedy pomyślę że zima zbliża się, a nasi biedacy męczą się w lasach na słocie i zimnie, każdy spieszy z ofiarą na jaką go stać, a ja miałabym mego małego poświęcenia żałować!

Władysław *(n. s.)* Złote serce!

Stanisław. Każde poświęcenie ma swoje granice. Wy ich tylko w niczém nie znacie. Oto i Marynia wyprawiala mnie dziś gwałtem do lasu, chyba dla tego, żeby mnie tam Moskale jak wilka ubili.

Zofia *(Na te słowa wstaje i mówi).* Prawdę powiedziałeś: że nie ma granic w uczuciach kobiety; dlatego i ja kocham ojczyznę tak, że zaprawdę nie widzę granic poświęcenia dla niéj. Przekonanie i serce mówią mi: że w imię téj miłości, prawy obywatel niesie dań krwi i życia; że sprawa, dla któréj takie niosą się ofiary, musi być świętszą nad wszelkie inne sprawy i uczucia. I, bracie mój, dokąd w duszy naszéj nie znikną granice poświęceń, o których mówisz, dotąd ojczyzna nasza nie wyjdzie z pod jarzma niewoli.

Władysław. Święte twoje słowa panno Zofio. Nie posądzaj nas jednak o obojętność w téj sprawie, każdy stawia ją na pierwszém miejscu i wedle możności służy.

Zofia. Wiem, panie Władysławie, jakie ponosisz i jakie chcesz ponieść ofiary; ale powiedz, dla czegóż wszyscy nie są takimi, i nie robią tego co pan?

Władysław. Bo nie wszyscy mogą. Oto i Staś ma obowiązki również święte jak tamte: Stary ojciec, siostra . . .

Stanisław. Próżne twoje słowa, mój Władysławie, nie przekonasz — to darmo.

(do Zofii).

Muszę ci powiedzieć, moja Zosiu, że to źle, kiedy kobietę zaprzątają sprawy publiczne; obronę ojczyzny pozostawcie nam, waszą ojczyzną jest dom, a celem myśli i uczuć powinni być ci, co się opiece waszego serca oddali.

Zofia *(z zapałem).* Nie uważasz Stasiu, że temi słowami zbijasz sam myśl, którą do nich przywiązujesz, i bezwiednie potwierdzasz to co powiedziałam. Mówisz, że dom i ci których kocha, to ojczyzna kobiety. Tak jest! to jéj wszystko na ziemi. Tu ona panuje cnotą i miłością, tu przelewa w serca ukochanych swoje uczucia, zaszczepia wiarę i cnoty, miłość w to co piękne i zacne; cieszy i umacnia w złéj doli, wyrzeka się siebie, i nie ma granic poświęcenia! W téj swojéj ojczyznie ona wychowuje bohaterów, z tego tronu wysyła ich na poświęcenie i śmierć! Zlicz, jeżeli możesz, takie matki, żony, bohaterki! ileż to ich i nasza także ziemia wydała!

Czegóż nie sprawi taka kobieta, kiedy przemówi do serc, w których uczucia miłości i cnoty stworzyła; do serc, które zrosły się z jéj własném sercem i jedném uderzają tętnem! O! potężny to taki głos, bo idzie do głębi serca i sumienia, i żadna zacna dusza oprzeć mu się nie zdoła!

(z wzrastającym zapałem do Stanisława):

Z twoich oczów widzę, że to co mówię i do twego serca trafiło!

(Stanisław chce się do Zosi zbliżyć, lecz go wstrzymuje i mówi daléj):

Tak, w domu kobieta widzi ojczyznę, w nim wychowuje obywateli mężnych i szlachetnych, a gdy posłyszy o nadchodzącym wrogu, woła: Mężu, synu, ratuj ojczyznę, bo zginie! Z tego miejsca, na którém mnie sam postawiłeś, i ja kobieta! wołam na ciebie: Bracie, ojczyzna ginie, ratuj ją, choćby ceną życia twojego!

Stanisław. O dosyć siostro, dosyć! rozumiem cię. Tak, słowa twoje trafiły do głębi serca i sumienia, niecąc zapał męztwa. Czuje się w téj chwili tak silnym, że zdeptałbym Moskwę całą. Władysławie! wpisuję się do twego oddziału i wraz z tobą idę na zwycięztwo lub śmierć.

Zofia. Stasiu mój drogi! jakże ci pięknie z tym zapałem. Takiemi musieli być ojcowie nasi, których garstka, potężna takim ogniem, gniotła zawsze tłumy tych samych barbarzyńskich wrogów!

Władysław. Kilku słowami sprawiłaś pani to, czego ja długą namową dokazać nie mogłem.

(do Stanisława):

Dobrze zuchu, zabiorę cię z sobą, ale spiesz się i ludzi przygotuj, jutro wieczorem przyjdzie przewodnik odprowadzić nas do oddziału, musimy być wszyscy gotowi.

Stanisław. Dobrze, natychmiast zabieram się do dzieła, a przedewszystkiem biegnę na wieś do ludzi.

Zosia. Ludzie już gotowi, ale Stasiu, co ojciec na to powie?

Stanisław. Prawda, zapomniałem o ojcu.

Zosia. Za nic w świecie nie pozwoli iść ani tobie, ani

ludziom, bez pozwolenia nie można, bo czujesz żebyś go tém zabił, takiego ojca, Stasiu!

STANISŁAW. Wszystko to prawda; a tu ojcu ani wspomnieć o powstaniu.

WŁADYSŁAW. To tak jak tobie przed chwilą.

STANISŁAW. Wstydzę się tego, i zatrzeć muszę niemiłe wspomnienie; biegnę do ojca, musi pozwolić.

ZOSIA. Stasiu! czekaj, tak nie można; gwałtownie nic z ojcem nie zrobisz; pozwolenia jego musiemy się powoli i zręcznie dobijać. Myśmy jak z Manią ułożyły planik w tym celu na dzisiejszy wieczór.

Ty Stasiu mów ojcu o wojaczce, to go zwykle rozgrzewa. Na pana także liczę, panie Władysławie.

STANISŁAW. Dobrze, probujmy!

ZOSIA. Teraz jedź do Mani, i proś żeby tu z ojcem najdaléj na godzinę szóstą była.

STANISŁAW. Doskonale! jedź zemną Władysławie, w drodze pomówimy o tém wszystkiém obszerniéj.

ZOSIA. A zabierz-że ten pakiecik i oddaj Mani, ja tymczasem uszyję kaftanik i dla ciebie, złośniku ty jakiś, teraz pewno już o to gniewać się na mnie nie będziesz.

STANISŁAW. A, sam ci szyć pomogę — daléj Władysławie, jedźmy!

(we drzwiach wpada na Jana, a nie mogąc go wyminąć, wciąga do pokoju).

A ruszajże stary niedołęgo!

SCENA IV.

ZOSIA, JAN.

JAN. Jak iskra chłopak, *(idzie do okna)* jak to wyładniał, wyrósł, wąs suty, mina dziarska; zuch i do konia i do pałasza, jakiby to z niego był hułan!

(po chwili). Śmieje się żem niedołęga, ho! ho! paniczu! nie powiedziałbyś tego, gdybyś mnie widział pod Raszynem, Lipskiem, Samo-Sierrą. Ale prawda: kto dziś w nas starych niedołęgach pozna szczątki tych dzielnych wojowników, na sam widok których pierzchał wróg! dziś-by to czwartaków i takich jak my hułanów!

ZOSIA. Kto wié, mój Janie, czy i dziś takich zuchów nie będzie, wiesz pewno, że się nasi z Moskalami biją.

JAN. A słyszałem, że się tam gdzieś nasi kupkami zbierają. Niech im Pan Bóg pomaga, piękna to rzecz bić się za ojczyznę, ale . . .

ZOSIA. Oho! jest ale, powiedz że to nieznośne ale?

JAN. Nie chcę ja starym rozumem ostudzać zapału młodych, może oni i dobrze robią, jednak przyznam się panience, że takiéj wojny jak ta — nie rozumiem.

ZOSIA. I nie poszedłbyś na nią?

JAN. Nie, panienko!

ZOSIA. To przynajmniéj namów ojca, żeby pozwolił iść Stasiowi.

JAN. A Chryste Panie! miałżebym za swoje! — Wiesz panienko, żebym dla ciebie nie żałował życia, ale tego nie zrobię za nic! ubiłby mnie jegomość.

ZOSIA. A mówiłeś tylko co, że dla mnie nie żałowałbyś życia, widać żeś to sobie tak tylko na wiatr powiedział. Dawniéj, kiedy byłam dzieckiem, kiedy nosiłeś mnie na rękach, uczyłeś chodzić, to wiem, że kochałeś, ale dziś . . .

JAN. Dziś więcéj cię jeszcze kocham panienko moja, boś ty dobra jak anioł. Pielęgnowałem cię kiedyś dzieckiem była, ty za to dziś pielęgnujesz mnie starego i ja nie kochałbym ciebie! Ot! co tam, zrobię co każesz, powiem jegomości, choćby za to i oberwać co przyszło.

ZOSIA. Poczciwy staruszku, teraz wierzę, że mnie jeszcze kochasz, ale inaczéj się rozmyśliłam.

JAN. Oj! to dobrze panienko.

ZOSIA. Ale musisz mi Janie za to ustępstwo inną zrobić przysługę; pójdziesz na wieś do gajowego.

JAN. Oho! pewno tam kto pomocy twojéj potrzebuje, ty śliczna opiekunko nasza!

ZOSIA. Idzie tylko o to, żebyś zrobił, o co cię Janie gajowy poprosi.

JAN. Dobrze, dobrze.

ZOSIA. Ale pewno, dajesz słowo?

JAN. Daję, daję, zrobię z pewnością.

ZOSIA. Tylko pamiętaj Janie, że dałeś słowo, a ono u ciebie wiele znaczy.

JAN. Dobrze, dobrze.

(odchodzi i wraca ode drzwi).

Ale, ale, myśmy zagawędzili się, a tam czeka ten Moskal, i chce się widzieć z panienką.

ZOSIA *(z przestrachem)* Moskal! jaki Moskal?

JAN. A no ten oficer, co kwateruje na folwarku.

ZOSIA. Pan Zygmunt, czyż to Moskal, tak mnie nastraszyłeś Janie — to Polak, tylko służy w wojsku moskiewskiém.

JAN. Polak panienko wrogom swoim nie służy!

ZOSIA. Jego gwałtem wzięli i musi służyć, zresztą właśnie dlatego, że służy w wojsku moskiewskiém, będzie naszéj sprawie bardzo pożyteczny.

JAN. Oj panienko, ostrożnie z nim na Boga! Polak zmoskalony gorszy od stu Moskali; a temu twojemu Polakowi strasznie źle z oczów patrzy.

ZOSIA. Nie bój się Janie, będziemy wszystko robić ostrożnie i dobrze. No idź poproś tego strasznego Moskala.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

a. ö. **Kronika.** — *Parę słów bez znaczenia. — Obchód Unii w katakombach Polski. — „Czas“ trzyma z „Djabłem.“ — „Kraj“ bierze „Szczutka“ w opiekę.*

Turyści, którzy przyjeżdżają do nas rozradować swojego ducha i nasycić oko pamiątkami narodowemi — po-

wiadają, że Kraków z kopcami Wandy i Krakusa i ze skarbami Wawelu daje doskonałe wyobrażenie katakomb starożytnych.

I rzeczywiście, gdyby od czasu do czasu ciekawi nie zaglądali do grobów klasztornych, gdzie przez pomyłkę zamykają żywych — gdyby nie małe nocne awanturki — i gdyby Unia nie była faktem dokonanym w dziejach narodu, — przyszłoby uwierzyć w niesprawiedliwe sądy ludzkie lub czekać cierpliwie karnawału, aby przekonać się, że nie w grobach żyjemy.

Na ulicach, spacerach i w ogródkach, jeżeli spotkasz jaką żyjącą duszę, jaką twarz ludzką lub coś podobnego do człeka, to tak to wygląda frasobliwie a żałośnie, jak gdyby z krzyża męczeńskiéj glorji zdjęta istota. Nawet młodzież wonna, co zwykle na linii A. B. uczy się sztuki boksowania lub u Mauryzia et Rodolfi kończy swoje wykłady uniwersyteckie — nawet mówię owa młodzież wonna pochowała się gdzieś (może pokutuje w klasztorach) i przepadła bez wieści! A jeżeli spotkasz jakiego niedobitka z tych naszych rycerzy, co się jeszcze słania po bruku — to wygląda tak nieszczęśliwie, jak gdyby nazajutrz miał płacić weksel lub przy zielonym stoliku zgrał się przed chwilą do nitki. I niebyłoby co robić powiadam, w naszym starożytnym i bogatym w pamiątki narodowe Krakowie, gdyby np. nie rocznica trzechsetletniego zbratania się narodów, która dała powód do wytłoczenia kilku tysięcy medali — i wywołała pewną uroczystość w naszém mieście, a mydlarzom napędziła korzyści niemało.

Na pociechę ducha patryotycznego wyznać tu muszę, iż naród poczuł się tą razą do solidarności, i mało można było widzieć okien (oprócz gmachów rządowych), w którychby światłość Boża nie zajaśniała. — Nawet, (fakt ten chciałbym aby się znalazł w historji) nawet mówię, na balkonie wspaniałego pałacu pod Owcą jarzyły się w srebrnych kandelabrach cztery świece i jedna kanfinowa lampa płonęła uroczyście — a wszystko to odbijając się od lustra w złote ramy ujętego, wyglądało wspaniale i dodawało niemałéj pompy w dniu 11 sierpnia.— A liczne tłumy spacerujących zatrzymując się co chwila przed pałacem, nie wiedziały co więcéj podziwiać, czy wspaniałość illuminacji, czy genjalność pomysłu, który miał symbolicznie przedstawiać unią owiec z *koroną*.

Nie wiem czy to jest faktem dokonanym (i dlatego wypraszam sobie, aby historycy nasi nie wciągali go do kronik bez sprawdzenia), ale podobno i „Djabeł“ nasz krakowski z naszym krakowskim „Krajem“ ślubowali sobie wieczną miłość i braterską zgodę, a w skutek mocniejszego zawiązania tego węzła przyjaźni „Djabeł“ miał dać uroczyste słowo „Krajowi“ iż nigdy żadnem *zaproszeniem* nie zdradzi jego wielkich tajemnic stanu. A na utrwalenie (podobno) owych związków solidarnéj łączności dziennikarskiéj i na pamiątkę bezprzykładnego w dziejach naszych braterstwa — dla tych co umieją czytać lecz ciężko im jeszcze zrozumieć, ma wyjść osobne dzieło jako komentarz do „K i e ł b a s k i i k o k o s z k i“ *) powiastki o poświęceniach, a niezrozumiałéj dla uczonych naszych.

W skutek owéj wzajemnéj admiracji naszych organów politycznych „Czas“ nazajutrz po ukazaniu się *zaproszenia*, domyśliwszy się że to nie o niego chodzi — spalił wonne kadzidło na ofiarę „Djabłu“, patrząc przez szpary, że nielitościwy szatan szarpał dobrą sławę przyjaciela jego L u s t r a t o r a. „Kraj“ zaś domyślając się w Szczutku nieprzebranych skarbów dowcipu — i nieoszacowanego humoru za jego list do M u c i a i za czterowiersz „d o p e w n é j k l i k i“ oraz za całą czwartą illustrowaną kolumnę — polecił go (Szczutka) gorąco swoim czytelnikom. Tak więc byle się wspierać wzajemnie, idziemy po téj ciernistéj drodze doświadczeń. A są tacy, co nas posądzają o koteryjki — lub co gorsza o stronniczość!

JANA MATEJKI

UNJA LUBELSKA.

Na wielkim płótnie, mistrz sztuki i piękna, rzucił trzy główne grupy, w których wskrzeszone historyczne postacie, opowiadają zdumiałym widzom jeden z najszczytniejszych faktów naszych dziejów.

W pośrodku ogromnéj komnaty zdobnéj boazerjami (renaissance), pomiędzy dwiema trybunami po bokach a w dali tronem, na szeroko rozesłanym perskim kobiercu widać jakby mense osłonioną bogatém pokryciem wzorzystego haftu. Na niéj oparł o relikwiarz głowy Ś. Stanisława roztwartą księgę ewangielii, jak gołąb' biały patryarchalnego oblicza i postaci promiennéj namaszczeniem *Jakób Urbański* prymas; z religijném uszanowaniem obejmując księgę starzec ten istny arcykapłan, trzema palcami wskazuje na obraz w i n i c j a l e zmartwychwstania Pańskiego.

Za nim czyta rotę przysięgi *Filip Padniewski* biskup krak., typ dyplomaty dworaka.

Pierwszy senator co przykląkł przy mensie, dotykając palcami prawéj ręki księgi, w lewéj trzymający zwój pargaminowy akt opatrzonych licznemi pieczęciami — ów magnat uderzający wielkością duszy, to *Marcin Zborowski* kasztelan krakowski.

Za nim zakuty w zbroi posiwiały starzec otwartego oblicza, z podniesioną w prawicy buławą — to hetman wielki koronny *Mikołaj Mielęcki*.

Obok równie klęczy w przepysznéj szacie w złotogłowiu, pełen dumy *Mikołaj* książę *Radziwiłł* rudy, wojewoda wileński, hetman wielki litewski. Obnażony miecz silną ujęty prawicą, jakby w imieniu kroci ciśnie ostrzem do ziemi.

Za nim wprost, stoją dwaj młodzi rycerze. Pierwszy z wzniesioną w zapale głową patrząc w krzyż, przyciska do swéj wrzącéj piersi sztandar z orłem; jestto *Roman* kniaź *Sanguszko* młody hetman polny litewski. Na ramieniu jego oparł swoją rękę człek niezłomnéj woli, dziki stepowiec *Michał* kniaź *Wiśniowiecki* przechyla sztandar szczytem do pierwszego a jeden z rycerstwa odchylając chorągiew uwidamia Archanioła herb Rusi i Pogoń herb Li-

*) Patrz „Djabeł“ Nr. 3.

twy. — W bok Sanguszki stoi oparty łokciem o trybunę patrzący z pode łba *Ostafii Wołowicz*.

Na przodzie zaś padłszy na kolana rzucił się na aksamitną ławę całym ciężarem swego ciała *Jan Chodkiewicz*, a nurzając w splecionych rękach opartą głowę, zda się mruczyć i pytać, co to będzie z tym lwem w szkarłacie.

Za nim skromnie podnosi rękę rzewnego oblicza i cichéj duszy *Jan Kostka*, Kasztelan Gdowski.

Na samym przodzie obrazu, nieco w lewo, zsuwając się z krzesła, usiłuje przyklęknąć osłabły szlachetny starzec *Walerjan Protarzewicz*, Biskup Wileński, podtrzymywany jakby synowską miłością przez *Jana Łaskiego*.

Lecz oto stanął w pośrodku *Zygmunt August*, Król Polski, zwiastun wielkiéj idei. Chwycił w ekstazie i podniósł nad wszystko ukrzyżowanego Zbawiciela — a namaszczeniem i urokiem nieograniczonego szczęścia przyjęta jego postać majestatyczna, zda się, że świat cały przygarnąć pragnie do ojcowskiego serca.

Siedzący w wysokiém pompatyczném karle zgrzybiały purpurat natchnionego oblicza, ze wzrokiem ginącém w jasnowidzeniu kardynał *Stanisław Hozjusz*, wyciąga drżące ręce, z których zdaje się spływa uroczyste błogosławieństwo łaski Ducha Śgo.

Obok wsparty o krawędź krzesła w zwiesisto okazałych szatach, hardy, niedowierzająco spozierający dokoła *Łukasz Górka*, generał wielkopolski, wojewoda poznański.

Za nim stoi nieśmiało, dorodny młodzieniaszek z utkwionemi w krucyfiks oczyma, a szepcący doń ojciec, krzepi przykładem wierność w potomku. Są to dwaj kniaziowie *Ostrogscy Bazyli* i *Janusz*.

Po drugim boku kardynała stoi butna postać niby obojętna z założonemi rękoma, jestto *Jan Firlej*, marszałek wielki korony.

Nad nim w trybunie występuje, śmiało podnosząc rękę do przysięgi *Albrecht*, książę pruski, lennik. Pod nim podparłszy głowę siedzi *Stanisław Tarnowski* w przerwie rozmowy z *Marcinem Kromerem*.

Daléj uchyla z wyniosłej głowy kapelusz *Andrzéj Tenczyński* poniżéj *Myszkowski z Olbrachtem Łaskim*.

Obok przy tronie trzymający jabłko królewskie *Walenty Dembiński* podskarbi w. kor. Z drugiéj strony tronu w głębi *Jan Herburt* z Fulsztyna i *Sędziwój Czarnkowski* marszałek Izby poselskiéj trzymający berło.

Bliżéj — ten, co może kiedy w świątyni przed Bogiem nie zdjął czapki, *Rafał Leszczyński*, dzisiaj obnaża głowę w pokorze.

Za nim pod oknem *Siennicki*, *Lasocki*, *Ostroróg*, *Szafraniec* i spinających się w rogu dwóch posłów mieszczan krakowskich.

Po prawéj stronie obrazu spotyka oko widza grono niewiast i dziewic otaczających powstałą z siedzenia postać w wice sadzonéj perłami królowy *Anny Jagiellonki*, pełnéj piękności i spokoju głębokiego.

Obok siedzi poważna matrona, w środku éj grupie *Beata Kościelecka*.

A za nią cudne liczko, dziewica, kwiat wiosny panna *Tenczyńska* obejmuje pachołę szlachetnych rysów o pojętnéj zadartéj głowie.

Z lewego boku królowéj wychyla się z gracją pełna dystynkcji o klasycznych rysach, młoda pani *Szydłowiecka*, któréj oczy zawisły na zentuzjazmowanym miłością dla kmiotków starcu, co jakby odmłodniały, siłą wprowadza nowo nobilitowanego ogorzałéj twarzy chłopka olśnionego widokiem nadspodziewanym a namaszczającym uroczystością i powagą.

U samego spodu klęczy młody, ładny i strojny młodzieniec, trzymając Radziwiłłowską mitrę i pochew słaniając się na bok od groźnego Chodkiewicza.

Na środku, u stóp mensy, leżą potargane przywileje panów, którzy przejęci uroczystością chwili, zrzekają się ich na wieczne czasy, łącząc się w miłości i braterstwie z narodem

I oto szczegóły obrazu bez krytycznego słowa jednego dla sztuki i piękna. któréj panem i władcą jest wielki nasz geniusz, wieszcz i poeta — chluba ojczyzny naszéj *Jan Matejko*.

Zdaje się bluźnierstwem byłoby dodawać choćby jedną uwagę, lub oszpecić zimnym sądem krytyki arcydzieło bijące namaszczeniem boskiego natchnienia. To też jeden tylko wyraz jest uczucia, uwielbienia w piersi widza, gdy przychodzi poznać dzieło i mistrza. Z obrazu Matejki bije potęga klasycznego spokoju, mocno pałającem życiem. — Gra wyrazu temperamentów, ogromna siła kolorytu, rysunek pełen prawdy — mistrzowskie rozgrupowanie osób — natchnienie i namaszczenie — wykończenie arcydzieła — Oto są rzeczy które zdaje się są wyłączną na polu artystycznym zdobyczą i wyłączną własnością pędzla Matejki.

*** **Zborowscy**, tragedja w 5 aktach p. Józefa Szujskiego. — Lwów. 1869.

Tragedja p. Szujskiego, jestto, jeżeli powiedzieć wolno, utwór sceniczny, któremu nic więcéj nie brakuje prócz mocniejszych konturów, aby był najlepszym z licznych prac autora na tém polu. Przyznać potrzeba, że plan pięknie obmyślany, sceny pełne dramatycznych sytuacji, ale obrobienie nie powiemy dorywcze — lecz słabe.

Postacie Zamoyskiego i Krzysztofa Zborowskiego naszkicowane są — prawda, poetycznie, ale poezji téj brak cechy charakterów i właściwéj mocy jaka konieczną jest w tak olbrzymiéj walce dusz. — Gryzeldy jednéj postać jest oddana pięknie, z łagodnością właściwą niewieściemu sercu. — W ogóle powiedziećby można o tragedji p. Szujskiego, że jesto to dzieło z bardzo pięknego ciosane materjału, brakuje tylko rzeczywistego natchnienia, aby je oblec w należyte formy.

Dra Rakowicza Kalendarz na r. 1870. Toruń. Nakład autora. — Jestto książeczka pisana dla ludu, odznaczająca się rozmaitością treści — i poczciwą myślą. Zresztą przydatna dla każdego. Obok potocznéj rozmowy *Grzegorza z Kaźmierzem* o obowiązkach względem narodowości, napisanéj od serca i poczciwie dla naszego chłopka. Są i dla czytelnika rozmaite *Figliki i Fraszki* oraz szkice Kostrzewskiego znakomitego humorysty warszawskiego, z różnych pism i autorów zebrane.

*** **Restauracja kaplicy Ś. Krzyża** powierzona panu Izydorowi Jabłońskiemu jednemu z najzdolniejszych artystów naszych w tego rodzaju pracy. Kaplica ta zbudowana zdaje się dla IV-éj żony Kazimierza Jagiellończyka, malowana jest wapienno w stylu bizantyńskim przez ruskich malarzy (Rusinów); tak nadmienia napis umieszczony w języku słowiańskim. Panu Jabłońskiemu udało się na spodzie zabudowania odkryć obraz, z którego po zdjęciu powłoki wapiennéj widną jest głowa *Bogarodzicy z dziecięciem*. Malunek ten przypomina charakter katakumbowy.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski*.

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera.

Rządzca Drukarni *Józef Łakociński*.